

Serbskie przepiórki

Witold Daniłowicz

Z polowań na pióro najbardziej lubię wyprawy na przepiórki. W ubiegłym roku postanowiłem pojechać na nie do Serbii i przy okazji zobaczyć kraj, w którym jeszcze nigdy nie byłem. Przy wyborze miejsca kierowałem się również tym, że do Serbii można wygodnie dotrzeć samochodem. W czasach COVID-u i coraz większych utrudnień w przewożeniu broni samolotem ma to niebagatelne znaczenie.

Kluczowym elementem każdej wyprawy myśliwskiej jest dobre towarzystwo. Szczęśliwie udało się skompletować sześcioosobowy zespół myśliwych z całej Polski – od Gdańska po Cieszyn. Na początku sierpnia ruszyliśmy więc w trzech grupach na południe. Pierwsze spotkanie w małym hotelu na południe od Budapesztu było okazją, żeby się poznać. Miła rozmowa przy tradycyjnej węgierskiej zupie rybnej z karpia (halászlé) szybko zesłała na planowany na następny dzień przejazd przez granicę serbską. Ktoś wspomniał o wymaganym teście na COVID-19, a mnie oblał zimny pot. Zapomniałem! Kilka tygodni przed wyjazdem jeden z kolegów przypominał, że taki test jest potrzebny. Ponieważ ruszyłem w drogę znacznie wcześniej, planowałem go zrobić we Wrocławiu, ale z nadmiaru wrażeń w podróży wypadło mi to z głowy.

Rozważaliśmy różne możliwości – najsensowniejsze wydawały się powrót do oddalonego o 150 km Budapesztu i zrobienie testu. Tyle że na wynik trzeba czekać, co oznaczało stratę przynajmniej jednego dnia polowania. W końcu postanowiłem jechać bez testu w nadziei, że jakoś się uda.

Po śniadaniu ruszyliśmy naszą małą kolumną na przejście graniczne. Przejazd przez granicę z bronią, zwłaszcza poza Unią Europejską, jest zawsze stresujący, nawet gdy się ma wszystkie wymagane dokumenty. Tym razem jednak poszło gładko. Musieliśmy wprawdzie trochę poczekać, bo przejście znajdowało się przy głównej autostradzie łączącej Budapeszt z Belgradem i prowadzącej dalej do Turcji. Po zgłoszeniu przy kontroli paszportowej, że podróżujemy z bronią, kazano nam zjechać na bok. Po godzinie pojawił się młody, sympatyczny

urzędnik (jak się okazało, też myśliwy), który na podstawie Europejskiej karty broni palnej wypisał nam stosowne zaświadczenia. Po opłaceniu opłaty skarbowej mogliśmy ruszać w drogę. Broni nikt nie oglądał. A co najważniejsze, nikt nawet nie wspominał o wyniku testu!

Serbscy Węgrzy

Celem naszej myśliwskiej wyprawy była Wojwodina – autonomiczna prowincja w północnej Serbii, a dokładniej jej północna część, czyli Baczka. Stąd wiele mijanych miejscowości miało to określenie w nazwie, np. siedziba gminy, w której polowaliśmy, to Baczka Topola. Historycznie część rzymskiej Dacji, przed pierwszą wojną światową Baczka wchodziła w skład Królestwa Węgier, a tym samym w skład monarchii austro-węgierskiej. Traktat w Trianon (1920 r.) podzielił ją między Królestwo Serbów, Chorwatów i Słoweńców (późniejsze Królestwo Jugosławii) i Węgry, przy czym tym ostatnim przypadła tylko



dr Witold Daniłowicz

witold.danilowicz@gmail.com
www.wdanilowicz.pl

niewielka północna część regionu. Ślady dawnej przynależności do monarchii Habsburgów najłatwiej było zauważyć w architekturze mijanych miejscowości. W każdym miasteczku przy głównej ulicy stało kilka ładnych domów z drugiej połowy XIX w., w większości niestety mocno zaniedbanych. Typowym miastem cesarsko-królewskim okazała się też położona nad Dunajem stolica Wojwodiny – Nowy Sad, do której wybraliśmy się później na krótką wycieczkę. Pięknie odnowiona starówka zrobiła na nas przyjemne wrażenie.

Nasza baza łowiecka leżała niedaleko Starej Morawicy. Podobnie jak całą okolicę tę wieś w dużej mierze zamieszkuje ▶



Nasz bungalow w bazie myśliwskiej

Arch. Witolda Daniłowicza [3]

mniejszość węgierska, o czym świadczą dwujęzyczne napisy na sklepiach oraz tablicach z nazwami miejscowości i ulic. Wkrótce okazało się też, że właściwie wszyscy z którymi mieliśmy kontakt, byli serbskimi Węgrami. W lokalnej restauracji stanowiącej siedzibę tutejszego koła łowieckiego na ścianie wisiało wielkie tableau członków. Same węgierskie nazwiska. Węgrami byli również nasi przewodnicy po łowisku i podkładacze psów – Silard i Laszlo – a także obsługa ośrodka, w którym mieszkaliśmy.

Bazę łowiecką tworzyły grupa czterech bungalów (w każdym cztery pokoje z łazienkami) oraz dom klubowy, gdzie jedliśmy posiłki i spędzaliśmy czas wolny. Ładnie położony wśród drzew obiekt został zbudowany zapewne w latach 70. ubiegłego wieku, ale był dobrze utrzymany. W założeniu mógł pomieścić cztery grupy myśliwych. Łowisko natomiast okazało się terenem typowo rolniczym. Przyjechaliśmy w drugiej połowie sierpnia, więc zboża już skoszono, a kukurydza jeszcze stała na polach. Ponieważ Baczka stanowi część Wielkiej Niziny Węgierskiej, cała okolica jest bardzo płaska.

Trudne początki...

Zaczęliśmy od polowania na gołębie. Po krótkim odpoczynku i półgodzinnej jeździe samochodami ustawiono nas na drodze przy elewatorze zbożowym, na którym siedziało kilkadziesiąt ptaków. Od czasu do czasu kilka z nich się podrywało, robiło kółko nad okolicą i wracało na miejsce. Szczerze mówiąc, nie tak wyobrażaliśmy sobie to polowanie. Tym bardziej że większość ptaków była gołębiami domowymi, a nie sierpówkami (synogarlicami), na które liczyliśmy. Do bazy wracaliśmy więc z poczuciem zawodu.

Następnego dnia rano wczesna pobudka. Niezwykle przydatna okazała się moja podróżna kawiarka, którą zawsze zabieram ze sobą na polowanie w nieznanne miejsca. Poranne espresso znalazło kilku amatorów. Parę łyków i w drogę. Tym razem na ścierniska popszcienne – na przepiórkę. Sposób polowania tradycyjny. Rozstawiamy się w linii co 20 m. Między nami stają podkładacze i ich psy. Na komendę ruszamy miarowym krokiem do przodu z bronią gotową do strzału. Kluczową sprawą jest niedopuszczenie do załamania się linii. W takim przypadku strzał do ptaka lecącego wzdłuż linii może się okazać bardzo niebezpieczny.

Na polowaniu na przepiórkę główną rolę odgrywa pies. Ma za zadanie okładać pole przed linią myśliwych, by wyszukiwać i wystawiać ptaki, a po strzale odnajdywać spadłe sztuki. Niestety szybko stało się jasne, że ten model w naszym przypadku się nie sprawdza. Psy ambitnie okładały teren, ale nie mogły natrafić na ptaki, które zrywały się z różnych miejsc. Czasami robiły stójkę, a my w napięciu przygotowywaliśmy się do strzału. Często jednak zamiast oczekiwanego stadka podrywała się jedna przepiórka, a nieraz się okazywało, że ptaki uszły i pies wystawiał tylko miejsce, gdzie siedziały wcześniej. Po przejściu w ten sposób dobrego kilometra docieraliśmy do końca pola, wychodziliśmy na drogę, przesuwaliliśmy się w bok i ponownie się rozstawialiśmy, po czym rozpoczynaliśmy kolejne przejście.

...niełatwego polowania

Strzelanie do przepiórek to trudna sztuka. Wymaga od myśliwego szybkiego złożenia się, dobrego oka i dużej ostrożności. Ptaszki są małe (trochę większe od wróbla) i latają bardzo szybko, do tego nierównym lotem. Mogą się zerwać w każdej chwili. Z przodu, z tyłu, a nawet spod samych nóg. Dlatego takie łowy wiążą się z dużym wysiłkiem fizycznym. Jedno poranne polowanie wymaga przejścia kilku kilometrów. Trzeba zachować przy tym ciągłą gotowość do strzału, a to skutkuje napięciem i po pewnym czasie zmęczeniem oraz zwolnionymi reakcjami.

Strzela się przed siebie, w bok i do tyłu. Gdy się chce oddać strzał do ptaka odchodzącego w bok, trzeba być bardzo szybkim. Przy niezbyt dużej odległości między myśliwymi przepiórka już po chwili znajdzie się centralnie przed kolegą, a wtedy jest jego kolej. Przy strzale do tyłu należy z kolei pamiętać, żeby podnieść broń i nie przeciągać luf przez linię.

Przepiórki najczęściej lecą nisko. Trzeba więc bardzo uważać, by nie postrzelić czworonoga. Strzał do ptaka nad jego głową jest ryzykowny, bo pies często goni nisko lecącą przepiórkę i skacze, by ją złapać w powietrzu. Nam w łowach pomagały dwa piękne wyżły węgierskie – Kan i Broni. Jeden miał duże doświadczenie i pracował wspaniale, a drugi był młodszy i niezbyt doświadczony. Przy okazji nauczyliśmy się węgierskich komend: *ju!* (siad!) i *keves!* (szukaj!).

Problemem okazało się również podnoszenie strzelonych ptaków. Chociaż staraliśmy się patrzeć, gdzie spadły, to nasze wyżły wielokrotnie nie mogły ich odszukać. Sporo ptaków było zapewne zbarczonych i po upadku na ziemię uciekało na nogach. Ale psy powinny je wytropić. Takie sytuacje bardzo nas frustrowały, zwłaszcza gdy strzelający był pewien trafienia. Zdaniem przewodników nasze problemy wynikały z panującej suszy. Od kilku tygodni nie padał deszcz, nie było też ani kropli rosy. W takich warunkach psom niezmiernie trudno się pracuje.

Mimo tych wszystkich problemów udało się nam oddać kilka celnych strzałów. Każdy z nich sprawiał naszym przewodnikom radość, którą głośno wyrażali. Doceniał je zwłaszcza starszy Laszlo. Komentował wszystko po węgiersku, tylko czasami rzucał po angielsku: „*Old boy, OK!*”. Wydawało mi się to dość śmieszne, do czasu gdy się zorientowałem, że te angielskie komentarze są skierowane także do mnie, a właściwie – jak zacząłem podejrzewać – tylko do mnie. Przeżyłem mały szok. Do tej pory nie uważałem się za kogoś, kogo postronny obserwator określiłby mianem *old boy*. Ale cóż, lata lecą, tylko my sami tego nie zauważamy.

Gołębie w kukurydzy

Po pierwszym polowaniu na przepiórkę byliśmy zmęczeni i trochę zawiedzeni małą liczbą ptaków. Ponieważ popołudniowe wyjście poprzedniego dnia też nie dało nam satysfakcji, wracaliśmy do bazy w smętnym nastroju. Z niepokojem (ale i z nadzieją) oczekiwaliśmy popołudniowej wyprawy na gołębie, zwłaszcza że od naszych opiekunów dowiedzieliśmy się, że tym razem zabiorą nas do zupełnie innego miejsca, gdzie sierpówek powinno być dużo. Ta wiadomość trochę poprawiła nam humory.

Nowe łowisko okazało się ogromnym polem kukurydzy. Dwóch kolegów zostało na drodze, dwóch weszło w uprawę, a ostatnich dwóch poszło dalej i stanęło z tyłu. Na linii energetycznej idącej przez pole siedziało kilkanaście synogarlic, co zapowiadało dobre polowanie. Skwar był niemiłosierny, ale nadzieja na ciekawe przeżycia łowieckie pozwalała nam o tym zapomnieć. Wkrótce zaczęły się pojawiać ptaki. Nadlatywały najpierw pojedynczo, a potem grupkami. Zjawiały się z najróżniejszych stron, więc trzeba

było mieć oczy dookoła głowy. Lot szybki i bardzo nierówny, z częstymi zmianami kierunku. Strzały bardzo trudne.

Przewodnicy zostawili nas przy kukurydzy, a sami poszli na imprezę urodzinową do pobliskiego domu. Nie mieliśmy więc psów do poszukiwania strzelonych ptaków. Początkowo próbowaliśmy to robić sami, ale szybko się zorientowaliśmy, że nasze wysiłki są bez sensu. Znalazienie strzelonego (a tym bardziej zbarzonego) ptaka w kukurydzy to bardzo trudne zadanie. W rezultacie niezależnie od siebie wszyscy porzuciliśmy poszukiwania i skoncentrowaliśmy się na strzelaniu. Decyzja okazała się słuszna. Indagowany później w tej sprawie Silard powiedział, że synogarlice są przez lokalnych myśliwych traktowane jak szkodniki. Nikt ich nie je i dlatego nie podnosi się ich po strzale – szkoda męczyć psy. Można to uznać za jakieś wytłumaczenie, ale takie podejście pozostawiło pewien niesmak. Kilku ptakom, które udało się podnieść, urządziliśmy symboliczny pokot.

Tym razem do bazy wracaliśmy w zdecydowanie lepszym nastroju. Uległ on dalszej poprawie przy kolacji z przepiórkami jako daniem głównym. Wieczór trochę się przeciągnął, do czego przyczyniło się doskonale lokalne wino. Wojwodina słynie z dobrego wina, a niedaleko od naszego ośrodka była mała winiarnia. Kiedy ją odwiedziliśmy, poznaliśmy właściciela, który opowiedział nam, jak kilka lat temu postanowił odejść od rodzinnej tradycji związanej z produkcją samogonu (rakii) i zacząć uprawiać winorośl oraz produkować wino.

Mistrz ceremonii

Kolejne dwa wyjścia na przepiórki uznaliśmy za zdecydowanie bardziej udane od pierwszego. Ptaków pojawiło się więcej. My też nabraliśmy już trochę doświadczenia w takim polowaniu, więc i rezultaty były lepsze. Natomiast ostatnie wyjście na synogarlice okazało się kompletnym nieporozumieniem. Pojechaliśmy w to samo miejsce co poprzednio i o takiej samej porze. Rozstaliśmy się i czekamy. Upał niemiłosierny, żar leje się z nieba. Raz na 15 minut przeleci jakaś sierpówka i to wszystko. Skąd taka zmiana? Nie wiadomo. Może poprzedniego dnia zbyt je wystraszyliśmy i przeniosły się w bezpieczniejsze okolice? Szybko zarządziliśmy powrót do bazy.



Nasza grupa przy pokocie.
Od lewej: Adam, Jan, Piotr,
Robert, autor i Piotr



Ceremonia chrztu

Gdy wracaliśmy z ostatniego wyjścia na przepiórki, wspomniałem Silardowi, że dla moich kolegów było to pierwsze w życiu polowanie na te ptaki. Bardzo się uradował i oznajmił, że trzeba przeprowadzić chrzest myśliwski według miejscowego obrządku. Zaraz po przyjeździe do bazy upolowane ptactwo ułożono na pokocie. W tym czasie w pobliskich drzewach Silard wyciął niezbyt gruby kij i wręczył mi go ze słowami, że będę mistrzem ceremonii. Wszyscy uczestnicy polowania ustawili się elegancko w czworobok, po czym koledzy pojedynczo podchodzili

do ceremonii chrztu. Najpierw klękali, potem opierali się na łokciach, a ja uderzałem kijem w najbardziej wystającą (i najlepiej do tego celu się nadającą) część ich ciała, wypowiadając przy tym stosowną formułę.

Tym wesołym akcentem zakończyliśmy naszą wyprawę myśliwską do Serbii. Jednogłośnie uznaliśmy ją za udaną – do tego stopnia, że rozważamy jej powtórzenie w niedługim czasie. Po śniadaniu koledzy ruszyli do domu. Ja natomiast pojechałem na lotnisko do Belgradu odebrać syna, z którym udałem się w dalszą podróż po Bałkanach. ●